

MŁODZI NA ROZSTAJACH

ADAPTACJA — SZKOŁA ŻYCIA

Wychowaniem zajmują się: rodzice, szkoła, organizacja młodzieżowa, zakład pracy. Pierwszym i podstawowym zadaniem fabrycznej pedagogiki jest społeczno-zawodowa adaptacja nowo zatrudnionych. Ułatwia ona start świeżo upieczonych pracowników, potęguje ich zapal do pracy i podnoszenia kwalifikacji. Zapobiega zatrudnianiu niezgodnemu z posiadanym wykształceniem, osamotnieniu, łamaniu dyscypliny pracy i obniżaniu jej wydajności, a tym samym ogranicza płynność kadr. Adaptacja nowo zatrudnionych leży więc zarówno w ich interesie jak i w interesie zakładu pracy. Wyjąwszy nieliczną grupę zawodowych aktywistów utrzymujących, że młodzież winna przejść twardą szkołę życia („nie cackać się!”) wszyscy uznają potrzebę adaptacji i płynące z niej korzyści. Między teorią a praktyką istnieje jednak przepaść.

Już pierwsze zetknięcie kandydata na pracownika z angażującym go zakładem działa jak przysłowiowy kubeł zimnej wody. Proces przyjmowania do pracy jest bowiem przewlekły i nacechowany formalizmem. Teczka personalna kandydata grubieje od papierów, których treść nie jednokrotnie się dubluje (po co wymaga się np. pisaną życiorysu, skoro zawarte w nim dane ujmuje również ankietę personalną?). Przyszły pracownik zostaje „puszczony w obieg”: z kartą obiegową wędruje od jednej do drugiej komórki; w teorii po to, by zapoznać się z zakładową rzeczywistością i jej wymogami, a w praktyce często tylko dlatego, by zebrać odpowiednią liczbę pieczęci i podpisów. Np. w Kopalni Węgla Brunatnego „Konin” zadośćuczynienie wszystkim formalnościom pochłania 7—10 dni. W wielu innych zakładach sytuacja jest znacznie gorsza.

Wszystko to jednak błędnie jeśli dalsze losy — nowo zatrudnionego układają się np. tak:

„Widziałam dobrze pracującą brygadę, ale została przydzielona do wyjątkowo bałaganiarskiej. Postawiono mnie przy maszynie i nikt się mną nie interesował w sensie instruowania czy jakiegokolwiek innej pomocy. Praca szła więc opornie. Moja nieporadność wywoływała śmiech. Momentalnie ukuto powiedzenie: ona ma dwie lewe ręce. To dało początek swego rodzaju degradacji (stałe sztychono: „patrzcie, jaka delikatna!”), podczas przerwy nikt ze mną nie rozmawiał itp.). Próbowałam zgłaszać pretensje mistrzowi, ale w odpowiedzi usłyszałam „coś taka mądralska, wszystkie rozumy pojadaś?”. Było to powiedziane bardzo ostro. Mistrz po prostu wrzeszczał — taki był jego styl” — z tego rodzaju „adaptacji” zetknęła się jedna z pra-

cownic naukowych UAM, która w celach eksperymentalnych podjęła pracę, w charakterze robotnicy, w zakładzie przemysłu metalowego. Dość charakterystyczne, że przedsiębiorstwo to skądinąd znane jest jako jeden z pionierów w dziedzinie adaptacji nowo zatrudnionych. Wyrazem tego była „Akcja - 1000”. Takiej liczbie absolwentów zasadniczych szkół zawodowych rzeczywiście ułatwiono start. Jak? Stażyści zostali wszechstronnie poinformowani o problemach życia w zakładzie, nad szkoleniem czuwał nie tylko odpowiedni dozor, ale również opiekunowie społeczni, pomyślano o wypoczynku i rozrywce nowo zatrudnionych, a zamiejscowym wyszukano i częściowo opłacono kwatery. Reorganizacja systemu bodźców materialnych doprowadziła do wzrostu wydajności pracy absolwentów. Ciekawą formę stanowiło również powołanie rad stażystów, które co pewien okres spotykały się z kierownictwem przedsiębiorstwa.

W jednym i tym samym zakładzie antyadaptacja (ujawniona w wyniku badań naukowych) i wręcz przykład na akcję adaptacyjną. Czym to tłumaczyć?

Niewątpliwie mamy już w zakresie adaptacji społeczno-zawodowej szereg udanych inicjatyw, prób, rozwiązań. Nie są one jednak ani odpowiednio upowszechnione ani stosowane długofalowo. Dzieje się tak dlatego, że główny ciężar przystosowania nowo zatrudnionych nie spoczywa na barkach administracji (zarówno zakładowej jak i centralnej), lecz organizacji społecznych. Im też zawiązujemy niemal to wszystko co w zakresie adaptacji społeczno-zawodowej uzyskaliśmy. Uznając „nałóż się przede wszystkim ZMS-owi, który w całym kraju rozkręcił akcję „Kowalski nie jest sam”. Realizacja tego hasła to jednak nazbyt często albo wyrzucanie administracji albo też wręcz wymuszanie od niej przeprowadzenia odpowiednich poczynań. Ani jedno, ani drugie zjawisko nie jest prawidłowe. Rola czynników społecznych polega bowiem na inspiracji i kontroli. Wprowadzać i upowszechniać na szeroką skalę udane rozwiązania adaptacyjne może jedynie administracja. Ona posiada odpowiedni aparat wykonawczy. Ona wydaje zarządzenia. Tymczasem ani resorty ani zjednoczenia nie wydały dotychczas instrukcji — dla kadrowców — w sprawie adaptacji nowo zatrudnionych. A przecież rozwiązywanie na szeroką skalę tego problemu należałoby rozpocząć właśnie od ustanowienia odpowiednich przepisów.

*) Jest to jedna z wypowiedzi na czerwcowym plenum ZW ZMS w Poznaniu. Tematem obrad była m. in. adaptacja zawodowa młodzieży.

tygodnia

NR 261 30. X. 1966 r. Rok VI

14 października w Operze Bałtyckiej w Gdańsku odbyła się prapremiera nowej opery kompozytora poznańskiego Stefana Poradowskiego „Płomienie”. Prapremiery operowe zdarzają się ostatnio w Polsce niezwykle rzadko. Ta była dopiero czwartą po wojnie po „Buncie Zaków” i „Teodorze Gentlemanie” Tadeusza Szelińskiego i „Andrzeju z Chelmina” Piotra Ryty. Z twórcą opery, profesorem kompozycji i teorii muzyki PWSM w Poznaniu i Wrocławiu oraz autorem licznych oratoriów, kantat i symfonii rozmawiamy dziś o gdańskiej premierze i w ogóle o sprawach polskiej opery. — Jak wypadła premiera? — pytam na wstępie kompozytora.

— Moja opera przyjęta została w Gdańsku bardzo życzliwie. Głosy krytyki też w zasadzie są pozytywne. Przedstawienie zrealizowane zostało bardzo starannie. Miało wytrawnego dyrygenta; dobrą oprawę sceniczną; wartościową reżyserię Bolesława Jankowskiego, piękne kostiumy i dekoracje. Premierę wspominał bardzo serdecznie. Duże zainteresowanie nią wykazały władze miejscowe. Otrzymałem odznak honorowy za zasługi dla Gdańska oraz medal pamiątkowy od ojca miasta. Operę miałem pisać trzy lata. Skończyłem ją w 1963 roku. Początkowo miała być wystawiona w Poznaniu pod kierownictwem muzycznym Zdzisława Górzyńskiego. Potem nastąpiła zmiana dyrektora, nowego dyrektora już ona nie zainteresowała. Wtedy właśnie zwrócił się do mnie o partyturę dyrektor Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku — Jerzy Katlewicz.

— Jaki charakter ma Pańska opera od strony ściśle muzycznej, o czym mówi jej libretto?

— Nie jest to opera awangardowa, bardzo nowoczesna, ale nie jest i tradycyjna. Uważam, że nie można ciągle tylko eksperymentować, że trzeba także pisać rzeczy mogące zainteresować szerokiego widza. A ten niewiele przecież interesuje się samym warsztatem kompozytorskim, techniką muzyczną i eksperymentami. Zależało mi więc przede-

Nowa opera i jej twórca

wszystkim na stworzeniu muzycznej emocjonalności, na stworzeniu jak największej sumy wrażeń i emocji dla słuchacza. Nie starałem się tu też specjalnie o ekstrawagancję i nowatorstwo. Opera moja utrzymana jest w nowoczesnym stylu dotychczasowych moich kompozycji oratoryjnych i kantatowych. Są w niej dłuższe wstępy solowe.

„Płomienie” są operą historyczną. Akcja jej umiejscowiona jest w Gdańsku, w XVI wieku, za panowania Zygmunta Augusta. Libretto mówi o buncie mieszczan przeciw królowi. Autorką jego jest Janina Cygańska, profesor wokalistyki w PWSM w Poznaniu. Opracowała je ona na podstawie jednego z opowiadań książki „Krnąbrne miasto” Wandy Goebel z Turka.

— Czym tłumaczy Pan tak małe zainteresowanie operą u kompozytorów współczesnych? Operą pełnospektaklową oczywiście, nie eksperymentalną, radiową, czy dziecięcą bo z taką spotykamy się przecież w Polsce dość często?

— Przyczyn jest kilka. Jedną z nich jest brak dobrych librett. Wybitniejsi pisarze poczytują sobie za

CIĘKAWI LUDZIE CIĘKAWÉ SPRAWY

ujmę pisanie librett, gorsi robią to źle i niezręcznie. Współczesny nasz język literacki jest przy tym bardzo trudny dla wokalistyki. Niewielu pisarzy umie pisać melodyjnie, muzycznie. Wielkie walory muzyczne ma język Mickiewicza, a z pisarzy współczesnych Tuwima i Gałczyńskiego. Nie sposób jednak korzystać już z tych tekstów, w znacznym stopniu przez muzyków wyeksploatowanych. Drugą przyczyną jest to, że pisanie opery jest bardzo ciężką, nieopłacalną pracą. Szanse wystawienia opery są nieduże; trzeba czekać na teatry, a ryzyko szalone. Praca nad operą jest bardzo żmudna i pracochłonna, a partytura liczy setki stron. Samo jej przepisywanie ciągnie się niekiedy miesiącami. Ja np. przepisywałem moją partyturę prawie przez cały rok.

— Czy widzi Pan także w gronie swoich uczniów i współpracowników wybijających się kompozytorów?

— Młodzież, która zgłasza się do szkół muzycznych jest bardzo zdolna. Na egzaminach wstępnych spotykamy się z dobrze zapowiadającymi się talentami. Jest ich nawet grubo więcej niż liczba wolnych



Prof. Stefan Poradowski

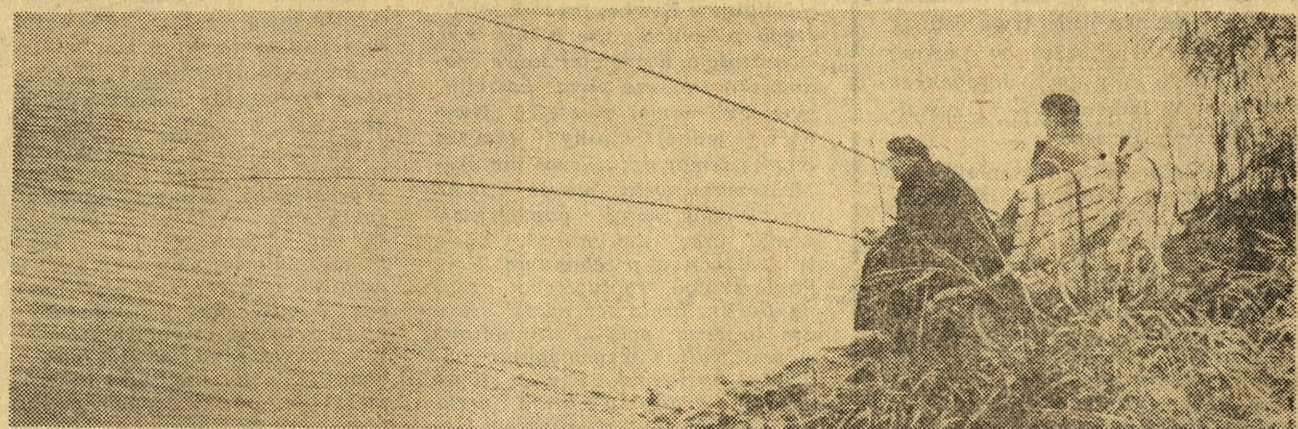
miejsc na wydziale. Z grona moich słuchaczy wybiło się kilku kompozytorów. Andrzej Koszewski i Florian Dąbrowski są docentami PWSM w Poznaniu. Docent Tadeusz Natanson, adiunkt Leszek Wiślicki oraz Jadwiga Lewandowska pracują we Wrocławiu. Bogdan Madey jest cenionym kompozytorem i dyrygentem w Warszawie. Świetnie zapowiada się jako kompozytor młody Zdzisław Wysocki. Ciekawym kompozytorem jest Jan Astriab — asystent naszej uczelni.

— Pan Profesor nie jest tylko muzykiem. Jest Pan również artystą-fotografikiem, prezesem Poznańskiego Oddziału Związku Polskich Artystów Fotografików. Może zechce więc Pan na zakończenie łącznie przedstawić nam jeszcze swe plany artystyczne. Kiedy usłyszymy pańskie utwory muzyczne w Poznaniu, kiedy zobaczymy Pańskie prace na wystawach?

— W marcu przyszłego roku przewiduje się zorganizowanie w Poznaniu festiwalu wyższych szkół muzycznych. Dyrektor Krzemieński chce na nim wykonać z orkiestrą PWSM moją IV Symfonię. Wcześniej, bo już 12 listopada wykonany zostanie na koncercie we Wrocławiu mój koncert skrzypcowy. Grać go będzie Edward Statkiewicz z orkiestrą pod dyktando Stanisława Michaleka. Prace z dziedziny fotografii wystawiam w kwietniu na zbiorowej wystawie ZPAF w Arsenale.

Rozmawiał:
OLGIERD BŁAŻEWICZ

Jesień nad wodą



Fot. (2) — K. Przychodźki

Zbigniew Mika

O wakacjach - po wakacjach

Korespondencja własną z Bułgarii

nego. W ubiegłym roku odwiedziło ten kraj ponad milion turystów (w porównaniu do 148 tys. osób w roku 1959 — skok to ogromny). Ocenia się, że tegoroczny sezon zamknie się liczbą co najmniej o 100 tys. wyższą. Zdecydowaną większość stanowią goście z Europy zachodniej, użytkownicy luksusowych hoteli i restauracji, płatnicy w twardą walucie. Najwięcej tu Niemców, choć nie brak i Skandynawów, którym my jakoś nie potrafimy szerzej udostępnić własnego wybrzeża.

A jak należy robić interes na turystyce, trzeba się uczyć m. in. w Bułgarii, biorąc oczywiście poprawkę na różnicę w czasie trwania sezonu. Sądzę jednakże, iż od strony organizacji, hotelarstwa i gastronomii, czy komunikacji, południowi przyjaciele Polaki mieli znacznie większe trudności od naszych. Jeśli się z nimi uporali, to chyba dzięki konsekwentnie realizowanemu, kompleksowemu programowi rozwoju turystyki, za którym stały poważne inwestycje.

Oczywiście, zaczęli od rozbudowy bazy hotelarskiej i gastronomicznej na czarnomorskim wybrzeżu. W ciągu kilku ostatnich lat powstały zupełnie nowe miejscowości wypoczynkowe (stałe rozbudowywane) — Słoneczny Brzeg i Złote Piaski, nie licząc mniejszych jak Bałczik czy Primorsko. Niedawno przystąpiono do rozbudowy wczasowiska Kawarna. Tylko w tym roku oddano do użytku w Złotych Piaskach i Słonecznym Brzegu 14 wielopiętrowych hoteli, podnosząc tym samym ich ogólny stan w tych miejscowościach do 147 dużych obiektów. Są to wszystkie obiekty nowoczesne, o ładnej architekturze, interesującym rozmieszczeniu i wkomponowane w przybrzeżne tereny.

Cztery lata temu, niezależnie od inwestycji nadmorskich, rozpoczęto budowę hoteli i pensjonatów górskich. Cieszą się one również dużym powodzeniem, przede wszystkim z racji źródeł mineralnych, którymi dysponują. Wprawdzie Bułgarzy mają w tej dziedzinie małe doświad-

czenie (nieporównanie mniejsze niż Polska), ale przystępne ceny robią swoje; na brak gości nikt tu nie narzeka.

Obecnie tutejszą bazę noclegową turystyki stanowią 804 hotele i 105.000 miejsc. Dochodzą do tego kwatery prywatne o bardzo różnym standardzie, schroniska i kampingi. Pomijam już sprawy rozbudowy gastronomii, co czyniono równoległe, dzięki czemu uniknięto dysproporcji pomiędzy możliwościami zakwaterowania i jedzenia, pomiędzy dobrymi chęściami eksploatacji złotej turystycznej żyły i rzeczywistym napływem dewiz do państwowej kasy.

Dodać do tego jeszcze trzeba, że wszystkim przybywającym do Bułgarii stworzono liczne udogodnienia graniczne i celne. Cofnięto nakaz obowiązkowej wymiany dewiz i przedstawiania dowodów opłaty awansem za usługi tzw. waucherów. Wizy wjazdowe można otrzymać na granicy, nie wyłączając lotnisk, a

tranzytowe mają trzymiesięczną ważność.

Jak z tej pobieżnej informacji wynika, bułgarski cud turystyczny o tyle nie ma nic z metafizyki, że stoją za nim kompleksowe plany i inwestycje, realny rachunek i konkretne działania. Wszakże, gdy wziąć pod uwagę, że kraj ten rozpoczął przed dziesięciu laty niemal od zera, zarówno w sensie bazy materialnej, jak i fachowego przygotowania ludzi, że i drogi tu były nie najlepsze, a tradycje gastronomii raczej przeciętne, trzeba mówić o „wielkim skoku”.

Zasmakowawszy w powodzeniu, znając światowe trendy turystyki — Bułgarzy ani myślą na tym poprzestać. Według sporządzonego planu perspektywicznego do roku 1980 tutejszy Zarząd Główny Turystyki (gestor turystyki międzynarodowej) będzie posiadał w dyspozycji 130 tys. miejsc noclegowych w hotelach (w porównaniu do 36 tys. obecnie). Placówki ZGT zamierzają obsługiwać co roku po 1,8 mln. turystów zagranicznych. Tworzy się także, do realizacji po 1980 r., plan budowy nowego źródłowiska czarnomorskiego Ropo-Tamo z początkową bazą 50 tys. łóżek hotelowych.

Jest więc nadzieja, że i Polakom będzie coraz łatwiej korzystać z doświadczeń tamtejszego słońca, które rzadko kiedy zawodzi.

Im więcej liści spada na ziemię, tym mniej przystoi pisać o letniej turystyce i wywczasowaniu. Widok fotografii z plażowych plenerów oglądanych w jesienny, polski dzionek przypisać może o lekki dreszczyk. Wyjaśnię przeto, że nad Morzem Czarnym, na bułgarskim wybrzeżu, słoneczne kąpiele nikogo przecież nie dziwią. Wprawdzie to już skraj sezonu, ale woda i tak tam cieplejsza niż bałtycka w pełni lata. W pierwszej połowie października — sam tego doświadczyłem — Morze Czarne miało 21 stopni.

Jak na nasze potrzeby — zupełnie wystarczy. Jeśli więc jechać do Bułgarii, to przede wszystkim we wrześniu, a nawet później. O tej porze kraj ten dysponuje jeszcze jedną atrakcją, a mianowicie obfitością tanich owoców. Kilogram winogron kosztuje zaledwie 15—20 stotinek tj. około 3—4 zł. Można się więc do woli objadać (bez obawy, że nie starczy na nylonową kuszule) siedząc na opustoszałym plaży, jeżdżąc wygodnie pustawymi autobusami. W okresie bowiem, o którym wspominać wypływa zaledwie jedna czwarta normalnego natężenia ruchu turystycznego, a może nawet mniej.

W „szczyt”, co ładniejsze miejscowości Bułgarii wyglądają tak, jak Poznań podczas MTP. Nic dziw-

ARTYSTA EPOKI

85-lecie urodzin Pabla Picassa

Równocześnie z 85-leciem urodzin Picassa, który przyszedł na świat w Maladze 25. X. 1881 r., obchodzimy właściwie 70-lecie jego niezmordowanej pracy twórczej. Młodzieńcze obrazy znalazły się bowiem na wystawie w 1896 r. a praca „Dwie kaczki” otrzymała nawet nagrodę. Start w krainie sztuki był więc udany. Ba, zaskakująco nawet dla profesorów Szkoły Sztuk Pięknych w Barcelonie. Student Picasso, przechodząc na wyższy kurs, w ciągu jednego dnia wykonał obowiązkową pracę, na którą otrzymał miesięczny termin. Już wówczas ujawniła się niezwykle spontaniczność procesu twórczego Picassa, która towarzyszy mu przez całe życie.

Nie ominęła jednak młodego malarza legendarna, cygańska bieda na paryskich poddaszach, chłód i głód, cały ten okres przedzierania się ku Parnasowi, romantyczny jedynie we wspomnieniach. Wprawdzie hiszpańscy rodacy, zasiedzieli na paryskim bruku, starali się o potrzebne kontakty z marszałkami — kupcami obrazów — pierwsza wystawa w 1901 r. znalazła przychylną ocenę w prasie, zabieg ten jednak uniemożliwiał zainteresowany. Uwolniony się od akademickich zaleceń, zaczął malować tak, że „odstraszał klientów”. Powstaje wówczas „Kobieta w niebieskich pończochach” — zapowiedź przyszłych monstrów „Kobieta umalowana”, „Ulicznica w barze”. Powróciwszy — na krótko zresztą — do ojczyzny również nie potrafił wyzwoić się od wizji ludzkich cierpień, nędzy, nieszczęść. Najgłośniejszym krzykiem protestu przeciw samotności jest obraz „Posiłek ślepca”.

Nieustająca metamorfoza

„Dziewczyna z koszykiem kwiatów” zapoczątkuje okres „różowy”, bardzo płodny, przynoszący artyście uznanie i pierwsze pieniądze. Powstaje „Kobieta z wachlarzem”, „Rodzina cyrkowców”. Artysta poznaje Matisse’a, zaprzyjaźnia się z Apollinaire’em, a wielki marszałek Vollard sam szuka z nim kontaktów. Zresztą głównym odbiorcą obrazów w tym czasie jest młody Niemiec Kahnweiler. „Sielanka” nie trwa jednak długo. 25-letni Picasso na pewnej chwili uważa cały swój dorobek za nieważny. W latach 1905—07 kształtuje się nowy Picasso.

A więc deformacja. Autonomia rozczłonkowanych elementów. Rozpaczliwa walka artysty z dwuwymiarowością. W rozmowie z przyjacielem Picasso powie: „Wystarczyłoby wyciąć te malowidła i złożyć je następnie wedle wskazań podanych przez kolor, aby stały się rzeźbą”. Aby „zrozumieć” „Panny z Avignon”, „Kobiety siedzące” i setki innych dalszych dzieł, wystarczy właściwie zapamiętać sobie te słowa.

Mamy już więc Picassa, prekursora kubizmu, zaprzyjaźnionego z

Braque’em, ale twórcę osamotnionego. „Dawne Picassy nadawały się do sprzedaży” — biadała marszałdzi. „Jego pracownia — to laboratorium” — twierdzą koledzy po pędzlu. Jeden z przyjaciół, wskazując na obraz, zawołał wzburzony: „Co byś ty zrobił, gdyby twoi rodzice oczekiwali cię na dworcu w Barcelonie z takimi obliczami?”!

Artysta nie wyrzeknie się wprawdzie nigdy zdobyczy tego okresu, lecz przecież na nich nie poprzestanie.

„Guernica” i „Goląb”

Uznanie i aproba Picassa — to dopiero właściwie lata trzydzieste, przypiętowane sukcesem wielkich wystaw retrospektywnych w Paryżu i Zurychu w 1932 r. Lecz jeszcze na rok przedtem słynny Vollard, wydając „Nieznane arcydzieło” Balzaca z rozbieżnymi w stylach ilustracjami Picassa, uznał za stosowne zaasekurować się na wszelki wypadek... przedmową jednego z członków Akademii o najmniej kwestionowanej twórczości.

Jednym z największych dzieł Picassa poprzedzających okres wojny jest „Guernica”, obraz wystawiony w 1937 r. Artysta zawarł w nim swe przerażenie ludzkim bestialstwem, dokonany przez hitlerowskie bombowce w jego rodzinnej Hiszpanii.

Wprawdzie niektórzy podnosili, że obraz ten „jest niedostępny dla człowieka średniego”, lub że Picasso wyzuił temat z emocjonalności, „Guernica”, artystyczny krzyk „NIE!” jest arcydziełem współczesnego malarstwa. Na przytoczone zarzuty zacytujmy replikę André Malraux: „Pierwszą cechą sztuki współczesnej jest to, że nie opowiada”. Picasso od pierwszych chwil wojny do mowej całym sercem zaangażował się po stronie republiki. Popierał finansowo akcje charytatywne, pomagał uchodźcom. Zagrożenie świata faszystowską inwazją znalazło wyraz w jeszcze jednej pracy: „Kot z ptakiem”. Obraz powstał w kwietniu 1939 r.

„Jestem przeświadczony, że moim malarstwem walczyłem jak rewolucjonista” — powie w pierwszych dniach wolności, wstępując do Komunistycznej Partii Francji.

Jeszcze niejednokrotnie artysta da wyraz głębokiemu humanizmowi i umiłowaniu pokoju. Jego „Goląb” stał się symbolem bliskim milionom ludzi wszystkich kontynentów, a wstrząsającą „Masakra na Korei” potężnym protestem przeciwko barbarzyństwu.

*

Pablo Picasso, niepożyty artysta, człowiek, który wstrząsnął światem, kończy 85 lat. Przylączyliśmy się do życia, które otrzymał z całego globu. „Ad multos annos”!

Eugeniusz Paukszt

W kręgu militariów

roki, o ambicjach panoramicznych obraz tych zmagani. Zarazem przez ciekawy, choć nie zawsze pełny rysunek psychologiczny bohaterów, autor poszerzył problem widzenia zjawisk wojennych w odczuciach pojedynczych ludzi.

Lotnictwo jest także, nie po raz pierwszy zresztą u tego autora, tematem nowej opowieści Kazimierza Sławińskiego „Wyrównany rachunek”. Jak dramatyczne i wręcz niekiedy niewiarygodne bywały losy wojenne pilotów polskich, świadczą mogą dzieje Wardeckiego, oparte zasadniczo o fakty sprawdzalnie autentyczne. Od walk powietrznych w kampanii wrześniowej, poprzez udział w nalotach na Rzeszę maszyn RAF-u, zestrzelenie, niewolę, ucieczkę i przedarcie się aż do powstania w Warszawie... Stamtąd zaś, była to bodaj jedyna tego typu historia powstańcza, na skleconym ze starego smelcu samolocie bohater

Zanim ujarzmi się raka...

Tegoroczne Nagrody Nobla z dziedziny medycyny dotyczą sprawy walki z rakiem. Sędziwy prof. Rous badaniom nad rakiem poświęcił całe życie; pierwsze swoje spostrzeżenia w tej dziedzinie ogłosił ponad 50 lat temu. Wyizolował wówczas wirusy raka u kur — mimo że szereg pracowników potwierdziło to odkrycie, przez z górą pół wieku nie spodziewano się by mogło to mieć znaczenie dla ludzi...

A oto zagadnienie wirusów jako czynnika rakotwórczego wysuwa się obecnie na czoło w badaniach nad rakiem — i szereg hipotez naukowych w wirusach doszukuje się obecnie sprawców tej groźnej choroby. Sprawa jednak nie jest prosta: dotychczas bowiem wyizolowano wirusy wyłącznie u zwierząt — i to wirusy wywołujące tylko niektóre postacie raka.

Stąd — droga do odkrycia wirusowego pochodzenia raka u ludzi. Ale — rzecz w tym, że tego odkrycia dotychczas nie dokonano; nie znaleziono nawet wirusa, wywołującego raka u zwierząt wyższego rzędu. Tyle, że nie ulega już wątpliwości, iż wirusy odgrywają rolę jeśli nie w powstawaniu raka w ogóle, to na pewno niektórych jego form (jak wiadomo, formy raka są liczone na setki). I można mieć nadzieję, że wyizolowanie wirusa rakotwórczego u człowieka — co pozwoli na jego skuteczne zwalczanie — jest tylko kwestią czasu: skoro wiadomo, że jest — znaleźć się musi.

Młodszy o ponad 20 lat, drugi laureat tegorocznej Nagrody, prof. Huggins prowadził badania nad rakiem gruczołu krokowego, czyli prostaty. Rak w tej formie atakuje przede wszystkim starszych mężczyzn; w miarę przedłużania się życia ludzkiego spotykany jest coraz częściej, onkolodzy stwierdzają, że jest to jedna z najczęściej stwierdzanych postaci raka u męż-

czyn. Złośliwość raka prostaty polegała na tym, że opierał się on leczeniu, powodując przerzuty już w początku choroby.

I oto, dzięki odkryciu dokonanym przez prof. Hugginsa, który stwierdził, że czynności gruczołu krokowego zależą od hormonów, okazało się, że przy usunięciu jąder, czy wprowadzeniu do organizmu hormonów żeńskich, może nastąpić zanik prostaty. Prace w tej dziedzinie idą w kierunku poszukiwania mechanizmu działania hormonów, dąży się przy tym do stwierdzenia wpływu pewnych hormonów na powstawanie raka.

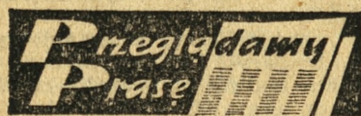
Wiąże się z tym wiele pytań, na które na razie nie ma odpowiedzi. Ale istnieją już skuteczne metody zwalczania raka prostaty — w postaci wczesniej; dalsze badania mogą rzucić światło na rolę hormonów jako czynnika rakotwórczego.

Jak z tego widać, są to dopiero dalsze kroki na drodze do odkrycia przyczyn raka, a co za tym idzie do jego zwalczania. Prace uhonorowane Nagrodami Nobla bynajmniej jeszcze nie wykryły panaceum na tę plagę; ba, nie stanowią nawet zapowiedzi jej szybkiej likwidacji. Ale sam problem, z którym są związane, jest tak ważny, że każde nowe odkrycie, każdy postęp w tej dziedzinie, świat wita z wielką radością i nadzieją. Nadzieja zaś jest tym razem uzasadniona — odkrycia, podobne do tych, które Rousowi i Hugginsowi przyniosły nagrodę, doprowadziły już do tego, że szereg postaci raka (zwłaszcza uchwycione wcześniej) daje się leczyć skutecznie; że nowoczesne metody diagnostyki pozwalają wcześniej wykrywać chorobę; że ludzkość nie jest zupełnie bezbronna w walce z chorobami nowotworowymi. Można więc realnie spodziewać się odkrycia ich przyczyn, co będzie niewątpliwie jednym z największych zwycięstw nauki w walce ze śmiercią.

mięci, jakże często męcząco wiernej, generalnie pojęty zamiar oceny tamtych trudnych spraw, podziałów i orientacji, miarę kategorii nade wszystko etycznych. Trudno w niewielkiej notce powiedzieć coś więcej, w każdym razie wydaje mi się, iż książka ta to wielki skok w pisarstwie Bystrzyckiego, wyjście na szeroki nurt problemowy, a zarazem umiejętność utrzymania w rygorach rozsądku naporu przemysłu i przeżyć, ciągłe dopomina tych się o ostateczne dopowiedzenie.

„Kryptonim Bastion” nosi tytuł tom wspomnień Władysława Szlagowskiego, oficera jednej z formacji walczących na Rzeszowszczyźnie z bandami UPA. Autor ma za sobą sumę przeżyć, jaką śmiało można by rozdzielić na stu innych i jeszcze mogłoby się pochwalić ciekawym życiem. Na domiar Szlagowski umie opowiadać. Ze zaś jego wspomnienia mają zarazem walor dokumentacyjny, książka ta ma duże znaczenie.

Z KSIĄŻKA NA TV



SPOSÓB ŻYCIA NA WSI

Jan Bijak w artykule pt. „Sposób życia” zamieszczonym w „Polityce” pisze o życiu pewnej rodziny chłopskiej mieszkającej w przeciętnej wsi gdzieś między Zamościem i Tomaszowem Lubelskim. Ojcu, matce, synowi i córce zadaje autor szereg jednakowo brzmiących pytań; z odpowiedzi powstaje ciekawy obraz nie tylko trybu życia ale także poglądów na różne sprawy członków tej samej rodziny. A pytania są bardzo różne. Co uważacie za największe osiągnięcie w swoim dotychczasowym życiu? Czy młodzież dzisiaj jest lepsza niż dawną? Czy młodzież dzisiaj jest starszymi istnieją spory, jakie? Czy dzisiejsze pokolenie młodzieży ma więcej szans uzyskać szczęście w miłości niż dawną? Czy majątek jest potrzebny do małżeńskiego szczęścia? Co sędzi o fizycznym zbliżeniu młodzieży przed ślubem? Jak sprawę najbardziej was interesują — wsi, kraju czy

międzynarodowe? Czy macie na te sprawy jakiś wpływ? Oto odpowiedzi na pierwsze z pytań:

„OJCIEC: Dwa mam w życiu osiągnięcia: ożeniłem się jak chciałem i dorobiłem się własną pracą. Mogę teraz dobrze żyć i promieniować na okolicę. Mam pasiekę — 55 pni i nikt tu w okolicy nie osiąga więcej niż ja. Mam sadek amatorski, hektarowy. Pierwsze drzewko posadziłem, jak mi ojciec dał kawałek ziemi i powiedział — twoje. W dobrym roku sad daje do 30 tysięcy. Tego lata gorzej bo urodzaj jabłek i spóźniełnie nie chcą brać (...)

MATKA: Mnie zawsze coś brakuje. Córka: U mnie tych osiągnięć mało. Nie wyszłam dotychczas za mąż i nie dostałam pracy. Kiedyś powiedziałam w zatrudnieniu, że mam maturę, roczny kurs i mieszkam w Lublinie, to odpowiedzieli, że szanse duże. Jak wyszło na jaw, że pochodzę ze wsi, pracę dano lubliniance (...)

SYN: (...) Zawsze marzyłem, że jak już na wsi zostanę, muszę mieć samochód i traktor. Moskiewicz już jest. Ale niech pan tego nie podaje jako pierwsze. Może takim pierwszym osiągnięciem jest rozpoczęcie nauki w technikum. Tak, to był pewien krok. Zaczynało nas 65, a dziś, po trzech semestrach został tużin”.

J. LOVELL — O MŁODZIEŻY PO RAZ TRZECI

Po dwóch głośniejszych artykułach o publikowanych na łamach „Kultury” („Koncert na trąbkę” i „Koncert na wiola d’amore”) na temat postaw młodego pokolenia Jerzy Lovell o-

publikował w „Życiu Literackim” pierwszą część trzeciego artykułu o podobnej tematyce pt. „Koncert na bęben”. Rzecz dotyczy niesłusznego ukarania młodego chłopca, który podczas pobytu na kolonijach zrobił drugiemu koleśce kawał (zresztą nie sam lecz razem z innymi) — poprzewracał pościel na łóżku. Kierownictwo obozu kolonijnego oskarżyło go o „zdemolowanie domku” (tak było w protokole), i publicznie napiętnując czyn chłopca, ukarało go wydalaniem. Kim byli wychowawcy — młodzi niespełna trzydziestoletni ludzie?

„Prawie wszyscy — to świeżo upieczeni magistrzy, absolwenci różnych szkół wyższych; część z nich — już na posadach, przy czym jeden z nich nawet w ośrodku atomowym (...) Zajęcie wychowawcy na takich wakacyjnych obozach i koloniach nie jest żadną p o s a d a, nikt tu nie prowadzi kartotek personalnych, nikt nie zabiega o awans: po prostu, zawiera się umowę na jeden turnus lub dwa, aby zarobić trochę, a zarazem pobyt w miejscowości atrakcyjnej — i po upływie tego czasu strony rozchodzą się, nie mówiąc sobie nawet „do widzenia”.

WIĘCEJ KSIĄŻEK KIESZONKOWYCH!

„Współczesność” przynosi artykuł Jerzego Wittlina pt. „Wnioski dla przekonanych”, omawiający — w na

wiązaniu do Kongresu Kultury Polskiej — kulturotwórczą rolę książki i sytuację jaką panuje obecnie na rynku księgarskim. Autor stwierdza, że półtora miliarda złotych przeznaczonych przez państwo na rozbudowę i modernizację poligrafii w bieżącej pięcioletniej oraz poważne środki na rozbudowę przemysłu papierniczego — to duża szansa, której nie należy marnować na półśrodki. Za cenę bowiem doraźnych i wątpliwych efektów modernizację naszej poligrafii odsuwamy zamiast ją przybliżać.

„Efektem przemysłowej rewolucji poligrafii na świecie — czytamy — jednym z podstawowych, chociaż nie jedynym jest powstanie książki kieszonkowej. Książka kieszonkowa w pełnym tego słowa znaczeniu zrewolucjonizowała na zachodzie rynek księgarski, czytelnictwo, przesunęła książkę z księgarni do kiosku, zrównała ją z gazetą. Wszyscy zajmujący się w Polsce i odpowiadający za produkcję i upowszechnienie książek wiedzą o tym oczywiście bardzo dobrze, ale w praktyce działamy nadal tak, jak gdyby ta rewolucja nas nie dotyczyła, albo w najlepszym wypadku dotyczyła tylko częściowo”.

JAKIE FILMY OGLĄDAMY!

„Kultura” publikuje artykuł Jerzego Kossaka pt. „Rentowność, która się oblicza” na temat repertuaru kin w Polsce. Autor stwierdza, że

mamy doskonały repertuar filmowy, oczywiście na miarę aktualnej twórczości filmowej w świecie. W zestawie 50 filmów, które osiągnęły największą frekwencję po pierwszym roku eksploatacji w latach 1962—1966 pierwsze miejsce zajmuje „Przebieg z wiatrem” (6.010.647 widzów) natomiast ostatnie miejsce „Wyspa tajemnicza” 1.348.494 widzów). W tym samym czasie świetny film angielski „Samotność długodystansowca” miał tylko 204.300 widzów, a dwa inne angielskie dramaty społeczne: „Ogień na ulicach” — 261.664 i „Spor towe życie” — 136.626 widzów.

„Ludzie chodzą do kina aby się rozrywać. Jest to w istocie prawda banalna. Daje ona wszakże znać o sobie w sposób szczególnie drastyczny w okresie umasowienia telewizji. Mały ekran ze swoją publicystyką, reportażem, turniejami, miast, zjazdami, szklanymi niedzielami po trafi w dostatecznym stopniu zadośćuczynić potrzebę intymnego kontaktu z codziennością. Z kinem w coraz większym stopniu kojarzy się barwna kawałkady, dynamiczny ruch na szerokim ekranie wprowadzający w trans fantastycznej przygody, szalonego romansu, awanturniczej nierzeczywistości. Taki jest trend społeczny. Nie można go zmienić z dnia na dzień. Ale nie należy go także podsycać”.

LEKTOR